Ranczo Staffordów

Pokój w dolinie

RUTH LOGAN HERNE

Tytuł oryginału:
Peace in the Valley

Autor:
Ruth Logan Herne

Tłumaczenie z języka angielskiego:
Joanna Olejarczyk

Redakcja:
Natalia Lechoszest

Korekta:
Dominika Wilk

Skład:
Klaudyna Szewczyk

Projekt okładki:
Alicja Malinka

Zdjęcia z okładki:
© iStock 538323334, © Pexels

ISBN 978-83-65843-96-8

Originally published in English under the title: Peace in the Valley by Ruth Logan Herne
Copyright © 2017 by Ruth Logan Herne; Published by Multnomah Books
an imprint of The Crown Publishing Group, a division of Penguin Random House LLC
10807 New Allegiance Drive, Suite 500 Colorado Springs, Colorado 80921 USA
International rights contracted through Gospel Literature International
P.O. Box 4060, Ontario, California 91761 USA
This translation is published by arrangement with Multnomah Books, an imprint
of The Crown Publishing Group, a division of Penguin Random House LLC

© 2019 for the Polish edition by Dreams Wydawnictwo

Rzeszów, wydanie I

Dreams Wydawnictwo Lidia Miś-Nowak
ul. Unii Lubelskiej 6A, 35-310 Rzeszów
www.dreamswydawnictwo.pl

Druk: drukarnia Skleniarz

Jeśli nie zaznaczono inaczej, wszystkie cytaty z Pisma Świętego podano za Biblią Tysiąclecia.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana, przechowywana jako źródło danych, przekazywana w jakiejkolwiek mechanicznej, elektronicznej lub innej formie zapisu bez pisemnej zgody wydawcy.

Ranczo Staffordów

Pokój w dolinie

RUTH LOGAN HERNE

Tłumaczenie **Joanna Olejarczyk**

Dla Zacha, mojego trzeciego syna.
Obyś zawsze odnajdywał swój własny pokój w dolinie,
obyś zawsze czuł ciepło Bożej miłości, dającej siłę i wiarę,
i obyś dostąpił błogosławieństwa tylu radości,
na ile pozwoli to zwariowane życie.
Każdego dnia.
Z wyrazami miłości
Mama

OD TŁUMACZKI

Droga Czytelniczko, drogi Czytelniku!

Ostatnia część serii, *Pokój w dolinie,* opowiada o losach Treya Walkera Stafforda, najmłodszego syna właściciela rancza Double S, znajdującego się w południowej części stanu Waszyngton. Główny bohater jest muzykiem country, a w powieści przewijają się nawiązania do bardzo popularnej w Stanach Zjednoczonych piosenki, która była inspiracją do tytułu tej książki. Mowa o balladzie *Peace in the Valley*, skomponowanej w 1937 roku przez Thomasa A. Dorseya, zwanego ojcem muzyki gospel. Jako pierwsza zaśpiewała ją Mahalia Jackson, ale przez lata utwór zyskał taką popularność, że wykonywało go bardzo wielu artystów, m.in. Elvis Presley, Little Richard, Johnny Cash czy Dolly Parton.

Tekst piosenki jest pełną nadziei modlitwą zmęczonego życiem człowieka, poszukującego ukojenia i wewnętrznej przemiany pośród życia pełnego ciemności i przeciwności. Oprócz rozdzierającej tęsknoty słowa wyrażają głęboką wiarę w to, że tytułowy „pokój w dolinie" zostanie odnaleziony,

podarowany przez Boga w odpowiednim, wyznaczonym przez Niego czasie.

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden utwór, który Ruth Logan Herne wymienia na kartach swojej powieści, mianowicie kościelną pieśń *Amazing Grace*, którą skomponował w 1779 roku anglikański duchowny John Newton, nawrócony handlarz niewolników. To znany na całym świecie hymn pochwalny na cześć Bożej łaski, która wybawia od zła, uśmierza lęki oraz pozwala dostrzegać dobro i Bożą światłość. W jednym z rozdziałów wykonuje go główna bohaterka książki – Lucy Carlton.

Gorąco zachęcam do wysłuchania obu tych piosenek, zarówno przed przeczytaniem tej powieści, jak i podczas lektury fragmentów, w których autorka do nich nawiązuje.

Joanna Olejarczyk

1

Choć raz Trey Walker Stafford okazał się w czymś lepszy od dwóch starszych braci. Zaszczyt ten wydawał mu się jednak wątpliwy, gdyż aby go dostąpić, musiał ryzykować życiem i oddać kawałek wątroby.

Dumał nad tą ironią losu, jadąc na wschód przez centralny Waszyngton drogą międzystanową numer dziewięćdziesiąt w swoim załadowanym po brzegi SUV-ie. Spośród trzech synów Sama Stafforda to akurat osierocony siostrzeniec, którego mężczyzna adoptował, okazał się mieć najlepiej pasujące DNA, żeby zapewnić przybranemu ojcu największe szanse na przyjęcie przeszczepu. Taki scenariusz idealnie nadawałby się do telewizyjnego reality show, ale przecież ich rodzinne życie jak dotąd przypominało tego typu program, więc czemu miałoby się to zmienić akurat teraz?

Uderzał palcami lewej dłoni o skórzaną kierownicę, wybijając nimi przypadkowy rytm. Jechał drogami, które znał od tak dawna, z zamiarem powrotu na ranczo do człowieka, który dwadzieścia pięć lat temu uratował go od nędzy.

Był zdeterminowany zrobić wszystko, co w jego mocy, by pomóc ojcu. Nie dlatego, że nosił w sobie życzenie śmierci. Operacja, bolesna rekonwalescencja i perspektywa zgonu nie figurowały na liście jego planów. Jego menedżer wielokrotnie powtarzał to przez ostatni tydzień we wszystkich możliwych mediach.

Ryzykujesz wszystkim, na co zapracowałeś, wszystkim, co masz: swoim domem… – Ed Boddy wyliczał na palcach, zwiastując Treyowi upadek. – …ranczem, które tak kochasz, ukrytym pośród wzgórz północnego Tennessee, swoją twórczością, swoim życiem. I to wszystko po to, by pomóc facetowi, który wyrzucił cię z domu, bo kochałeś muzykę? Jesteś lepszym człowiekiem niż ja, Trey. Bez dwóch zdań.

Wcale nie był lepszy. Wiedział to. Po prostu dręczyło go poczucie winy i czuł w środku zionącą otchłań podobną do jednej z czarnych dziur w nieskończonym wszechświecie. Solidną, zbitą, ale pustą wewnątrz. Nosił ją w sobie, odkąd tylko sięgał pamięcią.

Sam Stafford wcale nie przepędził go z powodu miłości do muzyki. Odtrącił chłopaka, ponieważ wiele lat wcześniej patrzył, jak negatywne strony sławy odebrały życie jego własnej młodszej siostrze i jej mężowi. Widział, czym mogło się skończyć życie w świetle jupiterów. Wiedział, że to nic dobrego, ale przybrany syn zbywał troski ojca wzruszeniem ramion.

Trey doświadczył na własnej skórze wszystko, co najgorsze w przemyśle rozrywkowym, i odczuwał silną potrzebę udowodnienia, że będąc muzykiem, można żyć przyzwoicie – otwarcie, uczciwie i w czystości. Nie planował tego całego szaleństwa i bogactwa, które same do niego przyszły.

Och, jakiś ty biedny.

Ten głos. Jej głos. Głos jego matki, Sandry Lee Stafford. Wzbudzający podziw już w jej wczesnych przebojach country głęboki alt nagle stawał się ostry i zjadliwy, gdy zwracała się do synka.

Stała nad nim, pachnąc paskudnie i mierząc go nienawistnym spojrzeniem – Treyowi tylko taki obraz stawał przed oczami, gdy ktoś wspominał o jego mamie. Podobno trzylatek nie ma zdolności zapamiętywania całych wydarzeń, a z tego okresu życia ludzie mogą jedynie od czasu do czasu miewać przebłyski wspomnień. Cóż, ktokolwiek tak twierdzi, jest głupcem, bo Trey pamiętał wystarczająco dużo. Zbyt dużo.

Nie ma na świecie nikogo, komu byłoby cię żal, Trey. A już na pewno nie mnie.

Prawdopodobnie płakał. Nie przypominał sobie łez, ale pamiętał, że miał mokrą twarz. A potem matka odeszła, ojciec również, po czym na komisariat policji wkroczył wielki i postawny Sam Stafford. Wziął Treya na ręce i zabrał do domu.

Tak to się zaczęło, a oto jak może się skończyć: Trey odda Samowi Staffordowi kawałek wątroby, by utrzymać go przy życiu. Dobry chrześcijanin śmiało ruszyłby naprzód ku takiej okazji. Dla Treya była to kolejna porażka, bo w większości spraw był gorliwym chrześcijaninem… tylko nie w tej.

Wewnętrzne poczucie winy kłuło go jak pęknięta struna gitary, ale czuł je od tak wielu lat, że nie powinno mu robić różnicy, iż doświadczał go również dziś. Jednakże tegoroczne lato miało przynieść życie lub śmierć – a to robiło wielką różnicę.

Zjechał z autostrady i skręcił w prawo, oddalając się od Gray's Glen – miasteczka, w którym dorastał. Po obu stronach rozciągały się szerokie połacie pól, porośnięte bujną trawą i szarozieloną bylicą. Im wyżej jechał, tym bylica stawała się gęstsza. Ciemnobrunatne bydło pasło się na górnych pastwiskach, a obraz ten przypominał mu gotowane na parze brokuły hojnie posypane ziarenkami pieprzu cayenne…

Trey był głodny. Zmęczony. Zdenerwowany? Owszem.

Prezenter radiowy z Ellensburga zapowiedział najnowszy singiel Treya w sposób, od którego mężczyzna aż się skrzywił.

– Chcecie kowbojskiej wersji bajki o Kopciuszku? Proszę bardzo, mamy ją dla was! Pochodzący z centralnego Waszyngtonu Trey Walker poruszy struny waszych serc pnącym się na szczyty list przebojów utworem *You Only Live Once*.

Trey wyłączył radio.

Nie miał ochoty słuchać własnej piosenki, w której udzielał mądrych rad swoim fanom. Wydawało im się, że rozumiał ich trudny los.

Otóż nie.

Sądzili, że miał złote serce.

Mylili się.

Wierzyli w niego, jego muzykę, powołanie i wiarę. Jakżeby chciał sam w siebie tak uwierzyć…

Stary, granatowy van pojawił się znikąd. Trey wcisnął hamulec. Za późno.

Furgonetka wpadła na skrzyżowanie. Mężczyzna skręcił ostro kierownicę i zaczął się modlić. Jego SUV zapiszczał w proteście.

Van również skręcił w desperackiej próbie uniknięcia wypadku. Manewr zadziałał, ale samochód wypadł z drogi, spadł ze skarpy, przewrócił się na bok i wylądował w strumieniu wpływającym do wąwozu.

Trey zatrzymał auto i wyskoczył z niego. Przebiegł dwupasmową wiejską drogę, wskoczył na pagórek, jednocześnie dzwoniąc pod numer ratunkowy. Wykrzyczał dyspozytorowi krótkie informacje i przyjrzał się niewielkiemu, choć stromemu zboczu.

– Do Chudney's Creek wpadł van, na północ od drogi I-dziewięćdziesiąt, przy Buell Road, tuż za skrzyżowaniem z East Chelan. Leży na boku.

Nie czekał na odpowiedź, od razu zbliżył się do brzegu strumienia. Wszedł do wody i spróbował wdrapać się na przednie drzwi przechylonego samochodu. Mokrymi dłońmi trudno było mu się utrzymać, jednak gdy udało mu się oprzeć nogą, podciągnął się na górę. Schylił się do klamki. Drzwi nie chciały ustąpić.

Kierowca – była to jakaś kobieta – miała twarz odwróconą w przeciwnym kierunku. Nie ruszała się. Ani drgnęła. Może nie… Serce zamarło mu w piersi. Zaczął walić pięścią w drzwi, nie mając innego pomysłu, i wtedy zdał sobie sprawę, że może uda mu się dostać do środka przez tylne drzwi prowadzące do części ładunkowej. Zeskoczył i popędził przez sięgającą do kolan wodę, po czym schylił się i chwycił klamkę.

Drzwi się otworzyły. Trey z ulgą wypuścił powietrze. Teraz miał dostęp do vana i kierowcy. Poczucie ulgi nie trwało jednak długo. Cały tył furgonetki był zawalony szczątkami roślin. Wywrócone donice, kosze i tace z sadzonkami

blokowały mu drogę. Samochód od podłogi po dach wypełniały chaos i zniszczenie.

– Nieee… – Z przodu pojazdu dobiegło jedno przeciągane słowo, co oznaczało, że kobieta żyła.

Serce Treya miało powód, by bić dalej. Uniósł wzrok.

Jeśli rozpacz miała oblicze, to chyba właśnie takie jak twarz właścicielki vana, gdy dostrzegła rozmiar zniszczeń.

– Proszę odblokować drzwi! – krzyknął, po czym przebrnął przez wodę. Ponownie wspiął się na samochód. Auto było przekrzywione pod takim kątem, że trudno było otworzyć drzwi. Instynkt jednak kazał Treyowi wyciągnąć kobietę z kabiny. A co, jeśli w środku znajdował się też pasażer?

Zaparł się na obcasach i pociągnął drzwi do góry. Zasłaniały mu widok i nie stał stabilnie, ale trzymał się ich kurczowo.

– Da pani radę wyjść? Boję się puścić drzwi i pani pomóc. Mogłyby spaść i panią uderzyć.

– Dam radę.

Trey się modlił. Wątpił, by przyniosło to jakiś efekt, bo choć wierzył w Boga, to nabrał przekonania, że Pan omijał z daleka jego ranczo w Tennessee. Właściwie to czemu miałoby być inaczej?

Tylko on i Bóg znali prawdę. Trey przyjechał tu po rozgrzeszenie. Po coś… cokolwiek, co wypełni pustkę pozostawioną przez bolesne poczucie winy. Nie wiedział, czego dokładnie szukał. Wiedział tylko, że szukał naprawdę od bardzo dawna.

Bez rezultatu.

Trey nie był głupi. Perspektywa odnalezienia wewnętrznego pokoju w ogromnej, zielonej dolinie w centralnym

Waszyngtonie była raczej nierealna. Nie był pesymistą. Po prostu tak w ostatnim czasie układało się jego życie.

Tuż obok jego stopy pojawiła się jedna dłoń, a potem następna, po czym z auta wychynęły złotobrązowe włosy. Kobieta odwróciła się w jego stronę i ujrzał jej twarz. Przepiękną, bardzo rozgniewaną twarz.

Świetnie.

Nie wzdychał i powstrzymał się od mówienia oczywistości. Powinna była zatrzymać się na skrzyżowaniu. To on miał pierwszeństwo.

Z położonego w dolinie miasta dobiegały sygnały syren. Z kabiny wysunął się jasnoniebieski T-shirt, a za nim zielono-niebieska spódnica. Kobieta nie uraczyła go już spojrzeniem. Zeskoczyła z boku samochodu do wody. Jej spódnica wydęła się, a potem zaczęła nasiąkać wodą niczym bardzo drogi papierowy ręcznik. Mokry materiał przykleił jej się do nóg. Warknęła, uniosła spódnicę obiema rękami i ruszyła przez strumień, po czym przystanęła przed otwartymi drzwiami bagażnika.

Nie potrafił odwrócić od niej wzroku, choć nie mógł też znieść widoku jej twarzy. Na własne oczy zobaczył przecież szkody wewnątrz vana – czyjaś kilkumiesięczna praca poszła na marne. Jej praca? Możliwe.

Łzy płynęły jej po policzkach, gdy przyglądała się temu bałaganowi. Nie szlochała, nie histeryzowała, nie krzyczała. Wylewał się z niej cichy strumień rozpaczy. Zapragnął jej pomóc. Tylko jak?

Może była teraz w szoku. To go pocieszyło, bo jeśli tak, to ten wypadek nie zrujnował jej życia. Z szoku przynajmniej dało się wyleczyć. Nie istniały za to koce termiczne

ani kawa, które byłyby zdolne ukoić złamane serce. Wiedział to.

Puścił drzwi, pozwalając im się zamknąć, po czym wskoczył do wody, akurat gdy nowym radiowozem zastępcy szeryfa podjechała jego przyszła bratowa.

– Trey? – Zdumiała się, widząc go w strumieniu, ale po chwili otworzyła oczy jeszcze szerzej, a na jej obliczu wymalowała się jeszcze głębsza troska. – Lucy? O mój Boże, Lucy, nic ci nie jest?

Za autem Angeliny zaparkował ambulans. Policjantka nie marnowała więcej czasu na Treya. Pospieszyła na brzeg strumienia i wyciągnęła dłoń do poszkodowanej kobiety.

– Chodź, kochana, podejdź do mnie. Co tu się stało?

Kobieta – Lucy – chwyciła dłoń Angeliny i pozwoliła wyciągnąć się na suchy występ skalny, po czym wskazała na Treya.

– Pędził jak szalony i nie zatrzymał się na stopie. Typowe jak na Stafforda. Szybki i wściekły, bez poszanowania dla przepisów i innych ludzi.

– Och, kochana. – Angelina uściskała ją i zwróciła się do Treya: – Przejechałeś znak stop?

– Nie ma tu takiego znaku. – Trey spojrzał z niedowierzaniem najpierw na nieznajomą, a potem na przyszłą bratową, po czym odwrócił się w lewo. – Jak widzisz… – Zamarł i naprawdę uważnie się przypatrzył, aż dostrzegł kształt ośmiokąta. – Nie. – Przeszedł przez ulicę, gdy ratownicy medyczni wyciągali nosze na kółkach. – Nie było go tu dziesięć minut temu. Przysięgam! – Pokonał kilka metrów, odwrócił się i westchnął.

Angelina pokręciła głową.

– Jeżdżę tędy bez przerwy i nie zauważyłam, że gałęzie zasłoniły znak. Po prostu wiem, że on tu jest.

– Nigdy go nie było. – Trey spojrzał na nią, a potem na Lucy. – Nigdy go nie widziałem, a kiedy tu mieszkałem, przy Buell Road nie było nakazu zatrzymania.

– Zmienili organizację ruchu kilka lat temu, gdy zbudowano drogę do osiedla Chelan Crossing – wyjaśnił jeden z ratowników, przechodząc przez jezdnię i wyciągając dłoń. – Brian Mulcahy. Chodziłem do szkoły z Coltem. – Przyjrzał mu się bliżej, podczas gdy jego kolega badał właścicielkę vana. – Wszystko w porządku? Ma pan jakieś obrażenia?

– Nie, nic mi nie jest. Gorzej z nią. – Trey skinął głową w stronę kobiety o imieniu Lucy, stojącej przy karetce. – Przejechałem na wprost i nawet nie zauważyłem, jak nadjeżdżała, aż oboje znaleźliśmy się na skrzyżowaniu.

– Zadzwonię po Harva Bedlowa, żeby przyjechał tu z piłą łańcuchową i sekatorem i zrobił z tym porządek. – Brian wskazał bujne gałęzie. – Nie wiem, jak mogliśmy to przeoczyć, Trey. Gałęzie zasłaniają znak zarówno z tej strony, jak i z tamtej, dla nadjeżdżających samochodów.

Mężczyzna mu pobłażał. Trey na to nie zasługiwał, ale z różnych powodów dobrzy ludzie z Gray's Glen zawsze traktowali go łaskawie, choć nigdy nie patrzyli przez palce na resztę rodziny. On nie urodził się jako jeden z synów Sama Stafforda i zyskał dzięki temu dodatkowe punkty u lokalnej społeczności, która przez zbyt wiele lat musiała znosić surowe usposobienie jego ojca. Czasami czuł się dobrze z tym, że go faworyzowano, a czasami nie – starsi bracia nigdy się nie wahali, by nauczyć go pokory.